

Przodkinie. Ziołowe ścieżki kobiet

Nasz związek z roślinami jest równie stary jak nasza historia jako gatunku. Nasze przodkinie były z nimi w bliskim kontakcie. Ziołolecznictwo to sztuka ponadczasowa, łącząca ludzi różnych epok, towarzysząca nam od zarania dziejów. Sztuka egalitarna, ponad podziałami społecznymi, niezależna od płci, wieku i miejsca zamieszkania.

Zielarki, babki, uzdrowicielki, mądre, szeptuchy, wiedźmy, czarownice, guślice, znachorki.

Kobiety od tysięcy lat przemierzały łąki, pola i lasy w poszukiwaniu roślin. Zaopatrzone w lniane worki i wiklinowe kosze. W samym środku dnia, gdy słońce stało wysoko na niebie. Nocami, gdy twarz

Księżycy była idealnie okrągła, a rośliny osiągały apogeum swoich leczniczych mocy. Stare kobiety, zgarbione pod naporem trosk i codziennych obowiązków. Z pooraną zmarszczkami twarzą przypominającą suszoną śliwkę. Z naręczami ziół zebranych gdzieś w głębi lasu. Wciąż widzę je oczami wyobraźni.





Wiedza, zdobywana metodą prób i błędów w żywym laboratorium natury, była dziedziczona przeważnie matrylinearnie. Przekazywana z matki na córkę, z pokolenia na pokolenie. Z ust do ust. Poprzez wspólne wędrówki, zbiory i przyrządzanie ziołowych eliksirów. Bycie razem.

Przez całe wieki kobiety znające zioła służyły swoim lokalnym społecznościom. Cenną radą i własnoręcznie sporządzanymi miksturami. Na wszelkie bolączki ciała i ducha. Od rwania w krzyżu do braku pomyslności. Uśmierzały ból, odbierały porody, a bywało, że ratowały życie.

Aż nadszedł czas mroku. Twardo stojący na patriarchalnym fundamencie Kościoł zaczął postrzegać ich działalność jako zagrożenie. A dla pierwszych, docierających na wieś medyków stały się konkurencją.

Europę zalała fala polowań na czarownice, która trwała od XIII do XVIII wieku. Wiejskie uzdrowicielki zostały wydane na pastwę ognia. Nierzadko zdradzone przez



własną społeczność. Ofiary sąsiedzkiej zawiści. Na pierwszy ogień szły te niepokorne, te, które ośmieliły się żyć własnym życiem. Oskarżone o złe spojrzenie, o odebranie krowom mleka, zatrzymanie nieśności u kur, nieurodzaj, susze, pożary i inne klęski żywiołowe.

Nagonka nie ominęła również mojej wsi. W XVII wieku spalono w niej kobiety. Bez imienia i nazwiska. Czarownicę. Zaledwie tyle o niej wiadomo.

Wraz z płonącymi stosami z powierzchni ziemi została zmieciona część gromadzonej przez wieki kobiecej mądrości. Wiedza na temat roślin, zwierząt, rytmów kobiecego ciała i cudu narodzin zniknęła bezpowrotnie. Ciągłość przekazu przodkiń została gwałtownie przerwana.

Poznanie historii procesów o czary to konfrontowanie się z gniewem. I bólem do szpiku kości. Próba odpowiedzi na pytanie, czy współczesne kobiety noszą w sobie ślady tego, przez co przeszły ich przodkinie. Czy w naszych komórkach, w naszym ciele tkwi jak zadra, jak niewyleczona rana wspomnienie płonących stosów, prześladowań, tortur? A może tkwi w nas dzikość, mądrość i niezależność domniemanych czarownic?

Szukanie informacji o zielarskim dziedzictwie kobiet przypomina zbieranie rozrzuconych elementów układanki. Znalezienie wszystkich jej fragmentów wielokrotnie okazuje się niemożliwe. Ze strzępów informacji o niegdyś żyjących zielarkach czerpię potężną siłę. Uczę się od nich cenić uzdrawiającą moc ziół. Patrzyć. Słuchać, co mówią do mnie rośliny. Rozumieć cykl Słońca i Księżycy. Szanować wszystko, co żyje.

Podstawowa wiedza o roślinach była niegdyś warunkiem przetrwania. Mark Twain, wspominając swoje dzieciństwo, pisał: „każda stara kobieta była lekarzem i gromadziła swoje własne lekarstwa...” (cyt. za: Swerdłow, 2001). I w tej materii polecam Ci powrót do korzeni...

Nasza kobieca historia splota się z pędami roślin w mocnym uścisku. Kwiaty, liście i owoce znaczą ślady stóp naszych przodków.

Ruta, 2020

